Zofia MAŁYNICZ:

Człowiek stający przed kamerą musi dobrze poznać swoją twarz



WSZYSCY miłośnicy teatru i poetyckich recytacji znają panią Zofię Małynicz, znakomitą aktorkę i profesora zwyczajnego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Pracy z młodzieżą aktorską pani profesor poświęciła 38 lat, wykładając w PWST do roku 1971, a jednocześnie grając na scenach całej Polski i zdobywając uznanie kolegów oraz publiczności.

— Nie uczę dopiero od czterech lat — mówi p. Małynicz. — Lubiłam pracę z młodzieżą, ale bardzo się cieszę, że mogę mieć teraz więcej czasu dla siebie.

— Niedawno oglądaliśmy Panią w roli księżnej Bilińskiej w telewizyjnej adaptacji „Sławy i chwały", a w marcu — w roli Celiny Bełzkiej w „Domu Kobiet" Nałkowskiej. Jest Pani jednak przede wszystkim aktorką teatralną, która występowała na scenie wiele lat przed pojawieniem się w naszym kraju telewizji. Jak więc czuje się Pani w tym specyficznym gatunku aktorstwa?

— Gra, czy to w TV, czy w w teatrze, zawsze pozostaje tą samą grą. Jest jednak pewna różnica: telewizja wymaga od aktora ogromnej precyzyjności, nie pozwala mu nadużywać gestów ani spojrzeń. Aktorzy grający dużo w TV uczą się oszczędności gestów i stosują ją potem także na scenie. Człowiek stający przed kamerą musi przede wszystkim dobrze poznać swoją twarz, musi także chronić się przed każdą nieczystością lub nadmiarem gestu i mimiki, co może ujść w teatrze, a co od razu daje się zauważyć na małym ekranie. W teatrze ponadto rola składa się nie tylko ze słów, ale także ze słuchania partnera, które osobiście uważam za równie ważne jak podawanie tekstu. Ta druga część składowa roli jest ze względów zrozumiałych mało eksponowana w spektaklu telewizyjnym. Ja staram się stosować jedną zasadę: gram przed kamerą nie tylko wtedy gdy wiem, że właśnie mnie ona pokazuje, ale przez cały czas. Pozwala mi to zachować ciągłość roli i koncentrację.

— Jaka dziedzina pracy aktorskiej absorbuje Panią teraz najbardziej?

— Zajmuję się dużo recytacjami, które bardzo lubię, i jeśli mi tylko sił starczy, zamierzam przygotować jeszcze wiele wieczorów poetyckich. Niedawno wybrałam i przygotowałam poezje Kochanowskiego, które recytowałam już poza Warszawą i w Muzeum Literatury. Moim marzeniem jest urządzenie wieczoru Kochanowskiego w Czarnolesie. Nie zależy mi na tym, aby recytować poezje byle gdzie. Chcę te recytacje przeżyć na równi ze słuchaczami w nastrojowym, kameralnym miejscu. Poza Kochanowskim mam przygotowane także wiersze Norwida i poetów współczesnych. Czechowicza, mądre i piękne wiersze Anny Kamieńskiej oraz księdza Jana Twardowskiego. W wolnych chwilach wybieram i opracowuję nowe wiersze, tym razem staropolszczyznę. Kosztuje mnie to oczywiście wiele wysiłku i pochłania czas, ale daje jeszcze więcej satysfakcji.

— Pani kontakt z teatrem był przez całe lata jak najbardziej ścisły. Uczyła się Pani aktorstwa u takich mistrzów jak Zelwerowicz, Jaracz, Wysocka, Maszyński i Stanisławski; grała Pani w „Reducie", w pierwszym zespole „Ateneum" pod dyr. J. Górskiej i M. Szpakiewicza, potem w Wilnie i Poznaniu, potem znów w warszawskich teatrach „Polskim" i „Narodowym"...

— Grałam w warszawskiej „Reducie" m. in. w bestsellerze lat 30-tych, słynnej „Sprawie Moniki". Sztuka ta stała się sceniczną „bombą", liczba przedstawień doszła do 600. Jeździliśmy z tym przedstawieniem po całym kraju, byliśmy na Łotwie a nawet zapraszano nas do ZSRR. W czasie okupacji zaprowadziliśmy wspólnie z gronem znakomitych ludzi teatru — Kreczmarem, Wysocką, małżeństwem Wiercińskich, Korzeniewskim, Wyrzykowskim i Daczyńskim — tajny Instytut Teatralny, który powstał dzięki inicjatywie Jadwigi Turowicz. Obecnie gram w teatrze w „Uczniu diabła". Co dalej — trudno powiedzieć, nie tylko ode mnie to przecież zależy.

Rozmawiała:
MARIA ŚLEDZIŃSKA